



MEANDER

ROK LXXVII 2022: s. 193–205
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2022.142259

STEFAN SKOWRONEK

JERZY CIECIELĄG

e-mail: jerzy.ciecielag@up.krakow.pl

Institut Historii i Archiwistyki, Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

ADRIAN SZOPA

e-mail: adrian.szopa@up.krakow.pl

Institut Historii i Archiwistyki, Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

DOTKNAĆ STAROŻYTNOŚCI. Z PROFESOREM STEFANEM SKOWRONKIEM (1928–2019) ROZMAWIAJĄ JERZY CIECIELĄG I ADRIAN SZOPA*

TOUCHING ANTIQUITY

Streszczenie: Rozmowa z profesorem Stefanem Skowronkiem (1928–2019), historykiem, archeologiem i filologiem klasycznym, cenionym zwłaszcza jako znawca numizmatyki, o jego edukacji i domu rodzinnym w Przeworsku, o studiach w Uniwersytecie Jagiellońskim i o karierze naukowej.

Słowa kluczowe: Stefan Skowronek; numizmatyka; badania nad starożytnością w Polsce; archeologia Egiptu; Uniwersytet Jagielloński; Przeworsk

* Podstawą tego tekstu jest wywiad z prof. Stefanem Skowronkiem przeprowadzony przez Jerzego Ciecieląga i Adriana Szopę 26 marca 2015 r. Rozmowa powstała w ramach cyklu „Rozmowy z Mistrzem” Ośrodka Dokumentacji Filmowej Nauki Polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Stowarzyszenia Historyków Starożytności. Nagranie jest dostępne w Archiwum Historii Mówionej: <http://stowarzyszeniehistorykowstarozytnosci.edu.pl/portfolio/stefan-skowronek/>. Prof. Stefan Skowronek zmarł 11 czerwca 2019 r. Fotografie zamieszczone w artykule pochodzą z archiwum prywatnego.



Summary: An interview with Professor Stefan Skowronek (1928–2019), a historian, archaeologist, and classical philologist, particularly renowned as an expert in numismatics, about his education in his hometown of Przeworsk, studies at the Jagiellonian University and his scholarly career.

Keywords: Stefan Skowronek; numismatics; Classics in Poland; archaeology of Egypt; Jagiellonian University; Przeworsk

Panie Profesorze, czy zechciałby Pan opisać swój dom rodzinny i swoje dzieciństwo w Przeworsku?

Moja matka zajmowała się prozą życiową, wychowaniem dzieci, ale jednocześnie ciągle coś nam czytała i potem odpytywała. Zawsze prosiła o odpowiedzi rzeczowe, proste i zwracała uwagę na formę językową i treść, tak żeby oddawała rzeczywistość. Poza tym w prowadzeniu domu i naszym wychowaniu pomagała babcia ze strony mamy. Teraz uderza mnie sposób traktowania nas przez mamę i babcię. Proszę sobie wyobrazić, że przed pójściem do szkoły umieliśmy już czytać i pisać. Dzisiaj mnie to trochę dziwi, bo tak się na ogół nie dzieje – to szkoła jest jako pierwsza powołana do tych celów. Natomiast naszymi pierwszymi nauczycielkami były mama i babcia. Ojciec był z zawodu rusznikarzem, miał w domu zakład rusznikarski, do którego przychodzili różni wojskowi, nawet wysocy rangą, z jednostki wojskowej, w której ojciec też miał kontakty rusznikarskie. Jednak precyzyjniejsze prace, jak na przykład kalibrowanie broni czy też jej naprawę, ojciec wykonywał w swoim warsztacie, do którego często przychodziłem. Ojciec mi na to pozwalał, ale mama nie była temu przychylna, ponieważ byłem tam świadkiem różnych rozmów nie zawsze właściwych dla uszu dzieci. Mama często prosiła ojca, aby korygował moje pytania i zachowanie, gdyż byłem bardzo ciekaw, jak robi się różne rzeczy w warsztacie. Ta elita oficerska miała bardzo dużo do opowiadania, zwłaszcza w obliczu zbliżającej się wojny, a ja zadawałem bardzo dokładne pytania. Goście ojca z warsztatu przynosili rozmaitego rodzaju podręczniki, książki, które połykałem, bo umiałem już czytać.

Miałem dwie siostry, starszą Zosię i młodszą Marysię. Pierwsza miała zamiłowania plastyczne, ciągle malowała i rysowała, druga z kolei zajmowała się przyrodą, kamyczkami – potem studiowała geologię. Ja natomiast dzięki lekturom podsuwanym mi przez gości miałem zamiłowanie do dyscyplin humanistycznych.

Uzasadnione więc będzie stwierdzenie, że rodzice Pana Profesora, głównie mama, mieli wpływ na późniejsze zainteresowania i pasje naukowe.

Tak. W kwestii doboru lektur trzeba dodać, że nie było jakichś wielkich możliwości bibliotecznych, biblioteka w Przeworsku była skromna. Wpływ lektury, również tej dostarczanej przez myśliwych, oficerów, przychodzących do warsztatu ojca, korygował moje widzenie świata i w jakimś sensie już wtedy wpływał na moją przyszłość.

A jakie książki z dzieciństwa szczególnie utkwiły Panu Profesorowi w pamięci?

Nie były to książki, które interesowałyby wszystkich, na przykład cała Trylogia, która była w domu i oczywiście od niej się zaczynało. Wiadomo, jaka to była historia, Sienkie-



Profesor Stefan Skowronek w 1998 r.

wicz jest pierwszorzędnym autorem drugorzędnym, ale lektura ciekawa. Czytałem także Prusa, *Placówkę*, nowele, takie jak *Antek*, też *Lalkę*, ale to już w późniejszym wieku, choć czytałem ją po raz pierwszy też w Przeworsku. Czytałem również podręczniki do szkoły podstawowej, na przykład *Wypisy historyczne*, dość gruba książka, właściwie na pograniczu bajeczki i historii.

Chciałbym też, jeśli można, powiedzieć kilka słów na temat mojego miasta. Przeworsk to małe miasteczko, leżące na łuku podkarpackim, który obfitował w bardzo gęste lasy, jeszcze wówczas nie wytrzebione, i kapitalne tereny łowne. Przepływa przez miasto rzeka, która się nazywa Mleczka i jest bardzo kapryśna, ponieważ gwałtowne roztopy powodują powodzie. Mam przed oczami pierwszy zapamiętany krajobraz – zatopiony Przeworsk, mieszkańcy poruszający się łodziami i różnymi kajakami, na przykład z rynku w stronę Mleczki. Uznałem, że nazwa rzeki pochodzi od zabarwienia mułem, zmacona woda wygląda jak mleko. Później rzekę przypominały mi pierwsze lektury dotyczące starożytności i oczywiście poezja:

Cześć ci, o Nilu! Chwała tobie, Nilu,
Który naszemu panujesz krajowi
i życie bujne niesiesz dla Egiptu!¹

¹ Początek staroegipskiego *Hymnu do Nilu*, który przytaczano już w przedwojennych podręcznikach do historii.

Tak sobie potem skojarzyłem, że właściwie ten namuł rzeczny Mleczki powodował, że pola były bardzo urodzajne. Przeworsk zresztą słynął z upraw i ogrodów, z jabłek, gruszek, śliwek. Było też bardzo kolorowo, wszystko kwitło, bo cały Przeworsk był ukwiecony, i to nawet bez specjalnej ingerencji ludzi. Miasteczko to jest też bardzo ciekawym punktem komunikacyjnym, jego położenie odgrywało dużą rolę podczas wojny 1939 r., kiedy miasto było bombardowane, w tym stacja kolejowa i rampa przeładunkowa. Tragizm wojny widzianej oczami dziecka silnie zapadł w mojej pamięci, dotyczył nie tylko Polaków, ale też na przykład martyrologii Żydów. W Przeworsku istniała synagoga i żydowska dzielnica. Synagoga została spalona przez Niemców, którzy rozstrzelali część Żydów na cmentarzu i na rampie kolejowej w trakcie transportów do Bełżca. Na miejscu zabijano słabszych i dzieci, a ciała wrzucano do dołów wykopanych na pobliskiej łące.

Jak wyglądało życie codzienne rodziny Pana Profesora w okresie II wojny światowej, poza traumatycznymi przeżyciami, które Pan Profesor oglądał?

Przez jakiś czas po wybuchu wojny istniało tajne nauczanie. Dziś wspominam, że miałem bardzo sympatycznych, dobrych nauczycieli, z których wielu pochodziło z Kresów. Polonista nazywał się Jan Bator, nauczyciel historii Chudzik, mieliśmy też bardzo ciekawego germanistę. W tajnym gimnazjum mieliśmy nauczyciela łaciny z kręgu profesora Ryszarda Gansińca, który rozpoczął nawet badania nad starożytnym niewolnictwem. Dużo opowiadał o profesorze Gansińcu, który po usunięciu ze Lwowa najpierw udał się do Wrocławia, a później do Krakowa, gdzie objął katedrę hellenistyki, o profesorze Jerzym Kowalskim, o Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Wracając do tajnego nauczania – gdzie odbywały się zajęcia? W klasztorze Ojców Bernardynów, w wielkim ogrodzie i również w celach. Dostawaliśmy tam też posiłek od zakonników. Potem okazało się, że miejsce jest za małe, bo chętnych do nauki było bardzo wiele osób, więc zajęcia odbywały się też w klasztorze Sióstr Szarytek, które także nauczały. Kiedy później sprawą zaczęło się interesować gestapo, bo donosiciele też się trochę znalazło, zajęcia w klasztorach przerwano i o nowych informowano specjalnymi ogłoszeniami, chodząc głównie po domach. Zajęcia przeniesiono między innymi na wieś, do Studzian, Markowej, Gaci, Nowosielec. I tam udawaliśmy się piechotą albo rowerami, co nawet podczas okupacji nie było znowu takie trudne, ale też furmankami, wozami. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu. Bardzo lubiłem geografię, historię, język niemiecki, ale i język polski. Stworzyliśmy też koło teatralne, w ramach którego wystawiliśmy *Zaczarowane koło* Rydla pod kierunkiem polonisty Jana Batora. Powstały nie tylko koła zainteresowań, ale także koła pomocy słabszym w nauce kolegom i koleżankom. Owych korepetycji udzielaliśmy bardzo chętnie.

A czy już wówczas pojawiły się u Pana Profesora ciągoty w kierunku świata antycznego, archeologii?

Tak. Zawsze zwracałem uwagę na czasy najbardziej odległe, na to, jaki był początek wydarzeń na danym terenie. Na przykład od historyka i polonisty dowiadywaliśmy się o kulturze przeworskiej, dzięki czemu usłyszałem o niej przed podjęciem studiów archeologicznych i historycznych. Nie bez znaczenia było też otoczenie Przeworska, przecież leżą tam takie miejscowości jak Grodzisko, Leżajsk, Radymno, Dynów, tam wszędzie spotykamy ślady przeszłości. Moje zainteresowania wzrastały więc dzięki kontaktom z bardzo dobrymi nauczycielami i dzięki lekturze pozwalającej na coraz głębsze poznawanie

przeszłości. Kolejne etapy szkoły według reformy Jędrzejewicza, a więc najpierw zakończenie czteroletniego gimnazjum, a po nim dwuletnie liceum, przeszedłem już po wyzwoleniu. Co ciekawe, nauka odbywała się w tych samych miejscach co podczas okupacji, a więc u bernardynów i szarytek, a to ze względu na brak miejsca do nauczania. Wreszcie na liceum przeznaczono budynek opuszczony przez Niemców, gdzie uczyłem się już po zdaniu małej matury. I tam zdawałem maturę.

Z rozmów z Panem Profesorem wiem, że studiował Pan Profesor trzy kierunki.

To się zaczęło od wybrania uczelni. Wielu kolegów pojechało do Wrocławia, do Lublina – ja i Zdzisław Żygulski wybraliśmy Kraków. Po wyjściu z pociągu szukaliśmy uniwersytetu, od tego zaczęliśmy. Mój towarzysz wybrał anglistykę, a ja filologię klasyczną, bo ciągle mnie nęciła starożytność. W Collegium Novum zjawiłem się u janitora, czyli odźwiernego, który sprzedawał również indeksy. Po zakupie trzeba było z indeksem pójść do dziekanatu, gdzie należało wybrać kierunek, ponieważ nie było żadnych egzaminów wstępnych. Dziekanem Wydziału Humanistycznego był wówczas profesor Jan Dąbrowski, historyk średniowiecza, a prodziekanem Ludwik Piotrowicz, wielka figura, człowiek niezwykle elegancki, tytułujący nas per pan, do czego w ogóle nie byliśmy przyzwyczajeni. Profesor podpisał indeks i kazał mi udać się na ulicę Pierackiego, później Świerczewskiego, a teraz Studencką, pod numer 3, gdzie znajdowała się Katedra Filologii Klasycznej. Tam w sali wykładowej spotkałem Tytusa Górskiego, a chwilę później pojawił się Aleksander Krawczuk, który z wesołością pytał mnie, czego tu właściwie szukam. Odpowiedziałem, że chciałbym się uczyć łaciny, może też greki. Wtedy Krawczuk powiedział, że ma trochę różnych tekstów i najlepiej by było, gdybym przyszedł do niego do domu. Nie było żadnego dystansu, co mnie uderzyło. Krawczuk mieszkał, mieszka zresztą do tej pory, w Podgórzu. Zapoznałem się z jego biblioteką, dostałem stos lektur. Uderzyło mnie, że on czytał to wszystko jak ja powieści w języku polskim. Trochę zdębiałem, że to trzeba będzie pokonać, że to będą dość trudne rzeczy. Takie było moje spotkanie z Aleksandrem Krawczukiem i Tytusem Górskim. A jakiś czas później pojawił się Mieczysław Brożek, a następnie Władysław Madyda, który był jednym z moich najsympatyczniejszych wykładowców. Zaczął opowiadać, że należy czytać takiego to a takiego autora, na przykład *Anabazę* Ksenofonta, bo to łatwy autor, łatwo go rozumieć: „jak czegoś pan nie będzie wiedział, to proszę przyjść”. I bardzo często do Madydy przychodziłem. Te wizyty zaowocowały wspólnymi wędrownkami poza Krakowem, ponieważ Władysław Madyda, który później zachorował na straszną chorobę – stwardnienie rozsiane – uwielbiał chodzić, był niesamowitym turystą. Kto tam jeszcze się pojawił? Romuald Turasiewicz, też oczywiście jako kandydat na studia, ponieważ po wojnie wiek nie był istotny, byli i starsi, i bardzo młodzi. Z Madydą organizowaliśmy wycieczki, w czasie których tłumaczył nam wszystko z ogromnym zaangażowaniem, z niesamowitą chęcią.

Chciałem jeszcze powiedzieć o moim drugim koniku, czyli historii starożytnej. Zjawiłem się w katedrze profesora Ludwika Piotrowicza, gdzie też się pojawiał Aleksander Krawczuk, który był swego rodzaju latającym pomocnikiem i profesorów Seweryna Hammera i Tadeusza Sinki, i profesora Ludwika Piotrowicza. Ten ostatni powiedział: „mamy tu wspaniałą bibliotekę, proszę do niej przychodzić”. Zajęcia z literatury rzymskiej prowadził Seweryn Hammer. Moje stosunki z nim to osobny rozdział. Mieszkał przy ulicy Straszewskiego, w trakcie rozmów o moich zainteresowaniach zrobił na mnie wrażenie bardzo

niezaradnego człowieka, ale tak się dziwnie złożyło, że zaproponował mi wizytę w swoim domu, żebym mógł zobaczyć jego bibliotekę i zapoznać się z jego pracami. I tak też się stało. Poza tym pomagałem profesorowi Hammerowi w robieniu zakupów. Bez problemu dostawał się na zajęcia, tym bardziej, że mieszkał blisko uniwersytetu, ale zorganizowanie dalszego wyjazdu było już sprawą dla niego trudną. Często więc zawoziłem go tramwajem na plac św. Ducha, gdzie był wówczas dworzec autobusowy. Zaprowadzałem profesora do właściwego autobusu, a nieraz nawet z nim jechałem do Zakopanego. W ten sposób tworzyły się związki naukowe i koleżeńskie. Ja pomagałem profesorowi, a on mnie pomagał w studiowaniu. Pomagał jednak nie w sensie ułatwiania, tylko stawiając wysokie wymagania. Osobny rozdział to profesor Tadeusz Sinko, trzymający wszystkich na dystans, mieszkał przy ulicy Poniatowskiego. Przepisywałem jego rękopisy na maszynie, co też było przy okazji formą kształcenia. Było to trudne, bo profesor bardzo niewyraźnie pisał. Nieraz spisywał swoje myśli ołówkiem na Plantach czy w tramwaju, przez co na przykład zamazywał je deszcz. Pamiętam pierwszą wizytę u niego: Sinko otwiera drzwi, ale nie siada, tylko kładzie się na podłodze. Pisał leżąc na brzuchu. Tak wyglądała praca Tadeusza Sinki.

To została nam jeszcze archeologia.

Jeszcze zapisując się na studia w Collegium Novum spotkałem Władysława Mecha, który był góraliem i dzięki niemu odbyliśmy wiele górskich wycieczek. Spotkałem też Kazimierza Godłowskiego, Marka Gedla, Rudolfa Jamkę. Dzięki temu pierwszemu już znacznie później pojechałem na wykopaliska do Bułgarii. Podjąłem też asystenturę u profesora Piotrowicza, która dawała możliwość prowadzenia zajęć, także u profesorów Sinki i Hammera. To nie była jednak taka asystentura jak dzisiaj, bo wówczas asystent musiał dbać o bibliotekę i różne sprawy profesora. Wracając do archeologii: po odejściu profesora Gąsiorowskiego w katedrze archeologii została zatrudniona profesor Maria Ludwika Bernhard i od tego czasu właściwie wszystkie inne sprawy odłożyłem na bok. Profesor Bernhard widziała, że nie mam wielkich kłopotów z łaciną i greką i zaangażowała mnie z powodu greckich inskrypcji na artefaktach, które zazwyczaj szybko odczytywałem. Profesor była tym niezwykle zdziwiona i dała mi do korekty swoją pracę o sztuce greckiej, a potem o malarstwie wazowym. Nie była zachwycona atmosferą Krakowa, dlatego zaproponowała mi przyjazd do Warszawy, do Muzeum Narodowego: „zobaczysz tam ciekawe zabytki i tam poznasz profesora Kazimierza Michałowskiego”. I tak się stało. Do dziś powtarzam, że dzięki profesor Marii Bernhard i profesorowi Kazimierzowi Michałowskiemu zacząłem dotykać starożytności fizycznie. Dotknięcie zabytku to zupełnie inna sprawa niż czytanie tekstu pisanego, choć to drugie też jest bardzo ciekawe.

Poza Klio, która ostatecznie wygrała, były jeszcze dwie panny, które Pana Profesora kusily, w czasach studenckich i nawet wcześniej: Melpomene i Talia. Czy mógłby Pan Profesor opowiedzieć nam o tych fascynacjach teatralnych?

To też jest osobna sprawa, bardzo dziwna. Zacznę od tego, że kiedy przyjechałem do Krakowa, zobaczyłem po raz pierwszy rynek krakowski, Kraków uderzył mnie od strony architektury. Rynkiem byłem zauroczony, wydawało mi się, że stoję na jakiejś wielkiej scenie, wszystko było dla mnie teatrem. Ponieważ i w Przeworsku było koło teatralne i miałem próbki poznawcze tej dziedziny, zjawiłem się na rogu Szpitalnej i Pijarskiej, gdzie był wielki szyld, mówiący o mieszczącej się tam szkole dramatu. Spotkałem tam



Podczas wyprawy do Egiptu w latach 1960–1961

Gustawa Holoubka, który był zarówno sekretarzem szkoły, jak i aktorem. Zapytał mnie, po co tu przyszedłem, a ja odpowiedziałem, że chciałbym zobaczyć, co się tu czyni, jak się robi teatr, antyczny na przykład, jak jest zbudowany, jak wygląda i sama idea, i literatura. Holoubek zaprosił mnie na rozmowę, bo nie było żadnych egzaminów. Na tej rozmowie oprócz Holoubka zjawili się – nie uwierzycie – Juliusz Osterwa i Władysław Woźnik. Nas, kandydatów, było koło dziesięciu. I tak po kolei nas pytano: „może by coś pan opowiedział, ale nie prozą, tylko jakiś wierszyk może pan zna”. Mówiłem o Przeworsku, jakieś urywki z *Judasza z Kariothu* Rostworowskiego, urywki z *Ody do młodości* – niedłgie, chodziło bardziej o powiedzenie ich donośnym głosem. Wcześniej bywałem w teatrze, między innymi na *Zemście* w Teatrze Słowackiego, więc wiedziałem, o co chodzi. Przyjęto mnie do szkoły. Uczono mnie chodzenia po scenie. Po raz pierwszy w życiu chodziłem w teatrze po scenie! To nie jest takie proste, straszliwie uginają się nogi i bardzo ciężko się chodzi, bo scena jest pochyła w kierunku widowni, ale się nauczyłem. Za dużo jednak było tych moich zajęć, bo i filologia klasyczna, i historia, i archeologia – musiałem z czegoś zrezygnować.

O ile pamiętam, miał Pan Profesor bliższe kontakty z Juliuszem Osterwą, a przede wszystkim z jego małżonką, z którą Pan Profesor pracował.

Pani Matylda Osterwina pracowała w Muzeum Hutten-Czapskiego w dziale rękopisów, świetnie знаła języki: niemiecki, francuski, angielski. Urządzała spotkania przy ulicy Pijarskiej 5, gdzie zresztą dalej mieszka ich córka i gdzie widnieje tablica informująca o zamieszkiwaniu tam Juliusza Osterwy. To były spotkania nie tylko ze mną, ale i z kolegami i koleżankami z muzeum. Była bardzo gościnna. Tam piło się zawsze bardzo dobrą kawę i były rozmowy, zdjęcia. Osterwa zjawił się tylko dwa razy, bo był ciągle zajęty próbami. Niezwykły człowiek. Dzisiaj w teatrze nie jest ważny aktor, teatr idzie w inną stronę, a wtedy aktor miał szczególne znaczenie. Pamiętam, jak prosiliśmy, żeby powiedział nam coś z *Fantazego*:

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadryjady, Laokonty, Psyllę
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją, z lokajstwem w zgodzie? – A nie tyle
Lokajów, ile posągów! – a wszyscy
Postaci większej, niżli chce natura:
Bo ci lokaje są sufitów bliscy
Głowami, a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki.

Wejdiesz w to i już wchodzisz w mitologię grecką. I tak Osterwa poświęcił nam kilka chwil, uroczy człowiek, niezwykły. Miał już wtedy zaczątki choroby. W Teatrze Słowackiego poznałem jeszcze Tadeusza Łomnickiego, który nie miał żadnych studiów, nie chodził na żadne zajęcia, był aktorem samoukiem. Gdy przyjechał do Krakowa, pracował w Płaszowie przy zrzucaniu węgla, a potem Solski i Osterwa zauważyli w nim zadatek na wielkiego aktora i dawali mu role. Łomnicki napisał nawet sztukę: *Noe i jego menażeria*. Bardzo ciekawe były te kariery.

Miał Pan Profesor szczęście spotkać na swojej drodze wielu wybitnych badaczy świata antycznego. Kto z nich był dla Pana Profesora najważniejszy?

Bez dłuższego zastanowienia na pierwszym miejscu postawiłbym Romana Ingardena, na drugim profesora Kazimierza Michałowskiego. Może jeszcze Kazimierza Godłowskiego i Marię Bernhard, ale tym dwóm osobom chciałbym, jeżeli mogę, poświęcić więcej uwagi.

Do profesora Michałowskiego jeszcze wrócimy, ale proszę powiedzieć, dlaczego profesor Ingarden – w końcu filozof, a nie starożytnik.

Proszę sobie wyobrazić, że w Collegium Medicum naprzeciw kościoła św. Anny mieściła się duża sala wykładowa, w której w poniedziałki o godzinie ósmej rano odbywały wykłady światowej sławy filozof Roman Ingarden. Na studiach mieliśmy jako przedmiot obowiązkowy do wyboru filozofię lub ekonomię, właśnie ze względu na Ingardena, który był filozofem o głośnym nazwisku, wybrałem filozofię. Roman Ingarden nauczył nas myślenia, poprawnego myślenia. Pamiętam, że rozpoczynał zajęcia cichym głosem, dlatego najlepiej było siadać w pierwszej ławce, gdzie niektórzy bali się siadać, bo czasem pytał. Mówił dość cicho, a potem coraz głośniej i głośniej. Sala pełna po brzegi, bo na zajęcia Ingardena chodzili studenci z całego Krakowa, nie tylko z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przypominam sobie liczne wykłady, bo chodziłem na nie regularnie, choć o ósmej rano młodemu człowiekowi było ciężko. Miał wykład o świadomości, głównie o Kartezjuszu i jego systemie:

– *Cogito, ergo sum* – mówił – wszyscy, nawet ten Tatarcikiewicz, tłumaczą: „myślę, więc jestem”. Nic podobnego: „mam świadomość, mam myślenie świadome – jestem świadom, że coś zrobię, że czegoś nie zrobię, że coś czytam, że czegoś nie czytam”.

Mówił też o dwoistości przeciwieństw, że coś może być dobre a coś może być złe, że coś może być białe i czarne, może być wklęsłe, może być wypukłe, może być męskie, może być żeńskie. To są dwie największe prawdy, które zresztą wymyślił Pitagoras, ale ugruntował je Kartezjusz, zwłaszcza kwestię myślenia świadomego. Takich wykładów

słuchało się bez końca, nic więcej człowieka już nie interesowało. Nie, przesada, bo jeszcze interesowała mnie starożytność. Ale byłem zauroczony wykładami Ingardena. Do dziś przechodząc ulicą św. Anny wchodzę do tej sali i wspominam, że tutaj odbywały się wykłady Romana Ingardena.

Kiedyś byłem w Sztokholmie z wystawą z Muzeum Narodowego i poszedłem zobaczyć pomnik upamiętniający Kartezjusza, który przyjechał do Szwecji na zaproszenie królowej Krystyny, ale się szybko przeziębził i zmarł. I tak sobie myślałem, że jestem w miejscu pochówku człowieka, którego system filozoficzny przybliżył mi Roman Ingarden. W okresie stalinowskim został pozbawiony katedry, dlatego że – jak to sobie tłumaczę – uczył nas prawdy.

Studiował Pan Profesor trzy kierunki. Czy mam rozumieć, że napisał Pan Profesor trzy prace magisterskie? I czy pamięta Pan Profesor ich tematy?

Pamiętam, że u profesora Sinki pisałem o komediach Arystofanesa: *Biedni i bogaci w komediach Arystofanesa*. Pracę z archeologii pisałem o mennicy aleksandryjskiej, która emitowała specyficzne monety od Augusta do Dioklecjana.

Praca doktorska dotyczyła sztuki greckiej.

Tak.

I wreszcie habilitacja z monet aleksandryjskich. Dlaczego akurat numizmatyka? Co takiego zafascynowało czy też wciąż fascynuje Pana Profesora w numizmatyce?

Wspomniany już Ludwik Piotrowicz, który mieszkał w swoim domu przy ulicy Michałowskiego 9, a właściwie w domu swojej żony Zofii Rozwadowskiej, powiedział mi kiedyś:

– Widzę, że się świetnie tu spisujesz, pomagasz mi w bibliotece, pomagasz mi nosić nawet mapę na wykład – wykład odbywał się w Collegium Novum na ostatnim piętrze w Sali Szujskiego. – Gdzie ty mieszkasz?

– No, mam kłopoty – mówię – bo mieszkam w domu studenckim, w Żaczku, i tam niechętnie mnie już widzą.

Na to Piotrowicz:

– Słuchaj, a co byś powiedział, gdybyś zamieszkał u mnie?

Miał w domu zbiory monet, które określiłem i opisałem. Piotrowicz polecił mnie dyrekcji muzeum, tak że pracowałem równolegle w Zakładzie Historii Starożytnej Piotrowicza i w Muzeum Czapskich. Miałem tam uporządkować wreszcie zbiory i zrobiłem to, choć zajęło mi to kilka, a może nawet kilkanaście lat. I tak się zaczęły moje związki z muzeum i związki z numizmatyką.

Przez wiele lat pracował Pan Profesor w Uniwersytecie Jagiellońskim i w krakowskim Muzeum Narodowym. Kiedy rozpoczęła się Pana przygoda z ówczesną Wyższą Szkołą Pedagogiczną, dzisiaj Uniwersytetem Pedagogicznym?

Nie uwierzycie, ale to była bardzo prosta sprawa. Zajęcia w Wyższej Szkole Pedagogicznej, która mieściła się przy ulicy Straszewskiego 22, prowadzili Piotrowicz i Madyda., który pewnego razu powiedział:

– Słuchaj, ja już mam dość tych zajęć tam, ciągle uczyć tych studentów, czy nie wzięłybyś trochę tych zajęć?

I ja wzięłem te zajęcia. Tak się zaczęły moje kontakty z Wyższą Szkołą Pedagogiczną. Za Piotrowicza prowadził potem zajęcia w Wyższej Szkole Pedagogicznej Krawczuk, a za Madydę zajęcia z łaciny i greki prowadziłem ja.

I spełniał się Pan Profesor jako dydaktyk? Z pewnym rozbawieniem czytam kwestionariusz wywiadu, bo zgodnie z nim mam zapytać, czy Pan Profesor był surowym wykładowcą. Jako student i uczeń Pana Profesora umiem odpowiedzieć na to pytanie, ale pytam Pana Profesora, bo bardzo lubił Pan kontakty ze studentami i prowadzenie zajęć. Jest Pan zresztą nawet autorem uwag dydaktycznych.

Wydaje mi się, że siłą nauczania jest życzliwość, chęć nauczania. Jeżeli ktoś chce nauczyć, muszę okazać trochę serca i życzliwości. Trzeba polubić to zajęcie, a że uczyć lubiłem, to nie ulega wątpliwości. Do tego mnie przekonał Ingarden, tego nauczył Madyda, to byli cudowni ludzie. Także Piotrowicz. Pamiętam, jak napisałem pierwszą pracę o znalezisku monet rzymskich w Przewodowie i poszedłem do profesora Piotrowicza, który był bardzo życzliwym człowiekiem, choć nieprawdopodobnie groźnym. Ludzie bali się go jak ognia, bo oblewał.

Nie wiem, czy Pan Profesor pamięta, że na moim roku oblał Pan jedną trzecią studentów z archeologii w pierwszym terminie, ponieważ moi koledzy nieopatrznie weszli na egzaminie na tematy numizmatyczne. I bardzo zgodnie polegli.

Coś mnie pokusiło, że może w ten sposób coś naprawię. Ale to się zdarzyło pewnie raz, może dwa, może trzy, w każdym razie niezbyt często.

Zanim przejdziemy do profesora Michałowskiego, Egiptu i wyjazdów na wykopaliska – czy mógłby Pan Profesor wskazać ważne momenty w swojej karierze naukowej?

Powiedziałem już, że dwóch profesorów szczególnie wysoko stawiam w mojej biografii: profesora Ingardena i profesora Michałowskiego. To było niesamowite wydarzenie, że profesor Michałowski zaproponował mi udział w jego ekipie. Wyjazd do Egiptu – ta wiadomość była dla mnie niesamowitym wstrząsem, postawiło mnie to na nogi. Wreszcie zobaczę tę starożytność, nie tylko z publikacji, ale z pola wykopaliskowego. To jest zupełnie inna sprawa. Profesor Michałowski zaproponował, żebym przyjeżdżał na jego seminarium, które odbywały się zawsze w czwartki. Zaczynały się o godzinie piętnastej, a trwały do dwudziestej pierwszej. Seminarium u profesora Michałowskiego były zupełnie inne niż u innych profesorów. Profesor poznawał przydatność poszczególnych uczestników seminarium do pracy na wykopaliskach. Potrzebny był mu ktoś ze stażem filologicznym, historycznym. Przyjeżdżał też do Krakowa. Mimo że był człowiekiem zajęтым, uczestniczył w moim doktoracie i w mojej habilitacji na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor Bernhard zawsze mówiła, że profesor Michałowski miał do mnie jakąś słabość. Był niezwykle bezpośredni. Traktował członków ekipy na wykopaliskach jak ojciec. Przyglądał się, jak dzisiaj wyglądasz, czy się dobrze czujesz. Co innego być w Kairze czy w Aleksandrii, co innego na polu wykopaliskowym prawie cały dzień. Do tego trzeba mieć bycze zdrowie. Trzeba coś jeść, trzeba coś pić i to wszystko jest niebezpieczne – można połknąć amebę, jakiegoś pasożyta, może cię wreszcie ugryźć skorpion albo kobra. Przede wszystkim niebezpieczny jest brak wody w organizmie. Musiałem mieć operację na głowie w związku ze słońcem, bo chodźłem jak wariat z odkrytą głową. Tam jest tak silne słońce, że pęka skóra.

Ale na niektórych zdjęciach jest Pan Profesor już w chustkach na głowie. Nasz najmłodszy kolega w katedrze określa nawet Pana Profesora mianem Indiany Jonesa.

Właśnie dzisiaj usłyszałem to określenie. Wracając do Michałowskiego – wspominam go jak jakieś niepowtarzalne zjawisko.



Podczas wyprawy do Egiptu w latach 1960–1961

Podobno profesor Michałowski potrafił być jednak choleryczny.

Być może taki był. Zdarzyło się, że obsztorcował kasjerkę na uniwersytecie, bo nie chciała mi wypłacić pieniędzy za recenzję. Zapytał mnie, czy mi zapłacili, i stwierdził, że muszę natychmiast otrzymać zapłatę. Kasjerka stanęła na baczność i pieniądze się od razu znalazły. To nie były duże pieniądze, ale profesor zawsze cenił trud osoby, która mu w czymś pomagała. Tak więc profesor czasem miał takie ostre wejścia. Ale był bardzo sympatyczny podczas spotkań, całkiem inny, bezpośredni i życzliwy ludziom. Lubiliśmy się bardzo, jeżeli tak mogę powiedzieć.

Do Egiptu leciałem pierwszy raz w życiu. Lądowało się najpierw w Budapeszcie, potem w Belgradzie, potem w Atenach i dopiero w Kairze. Przez cały pobyt żywiłem się bananami i sardynkami, popijało się sokiem z marchwi, z mango albo sokiem pomarańczowym. Jadło się też bób, który do dziś bardzo lubię, placki faszzerowane bobem i kiszonkami.

Pan Profesor był też w innych krajach na wykopaliskach. Czy pamięta Pan Profesor jakieś ciekawe przygody związane z wykopaliskami?

Na szczęście negatywnych przygód nie miałem, choć gdy pływało się w Morzu Czerwonym, ostrzegano nas przed skorpionami na brzegu. Raz skaleczyłem nogę na kamieniu, a w Egipcie rany goją się dość długo. Z kolei w Tell Atrib pokazują się węże i gdy rozpoczęliśmy tam prace, najpierw podpaliśmy kom, obrośnięty wysoką trawą, z której uciekało wiele węży.

A jak się współpracowało z Egipcjanami?

Z dwoma byłem nawet zaprzyjaźniony, byli bardzo chętni do pomocy. Ja oczyszczałem monety i metalowe fragmenty, na przykład lamp, a także ceramikę, używając wody i specjalnego kwasu przy silniejszych zabrudzeniach. Jeździliśmy do oazy Fajum, żeby zobaczyć osiedle. Dzieci zaczęły nas dotykać, chcieli nas częstować wodą, bananami, daktylami. Żegnano nas zazwyczaj, gdy wyjeżdżaliśmy z wykopalisk, kamieniami, taki tam jest zwyczaj.



Podczas wyprawy do Egiptu w latach 1960–1961

Tak się złożyło, że znaczna część kariery Pana Profesora przypadła na trudne czasy. Ale Pan Profesor jeździł nie tylko na wykopaliska, ale też na przykład na kongresy numizmatyczne do Szwecji, do Danii. I nawiązywał tam Pan Profesor kontakty naukowe. Jaką rolę odgrywały dla Pana Profesora te wyjazdy i czy pamięta Pan z nich jakieś ciekawe historie?

Przede wszystkim zupełnie inny świat, tu bieda, a tam przepych. Przez jakiś czas utrzymywaliśmy kontakty nawiązane na tych kongresach, ale one wygasają z różnych powodów, ludzie odchodzą. Jeździłem też z wystawami, przy okazji zaglądałem do bibliotek, do zbiorów, interesowały mnie głównie zbiory numizmatyczne.

Ile Pan Profesor zna języków?

Posługuję się językiem angielskim, włoskim, francuskim. Po arabsku znam kilka przekleństw.

Większość ludzi, gdy przechodzi na emeryturę, robi plany: wreszcie przeczytam stos zaległych książek albo rozpocznę podróż. Jak to było z Panem Profesorem? Czy Pan Profesor odpoczywa na emeryturze?

Trudno powiedzieć, że odpoczywam. Nie lubię leżeć, nie lubię odpoczywać, czytam. Czytam co się da z literatury pięknej, żona polonistka mi doradza, córka też jest polonistką.

Na zakończenie – jakich rad udzielilby Pan Profesor dzisiejszym adeptom historii, takim, którzy chcieliby pójść w Pana ślady, nauczycielom, naukowcom, ludziom młodym?

Przede wszystkim: panować nad swoim systemem nerwowym. Mieć szacunek dla własnego dobra i nie denerwować się. Ile jest rzeczy nie takich, jak być powinny, i w pracy, i w tak zwanej prozie życiowej. Przy tym tak jak mówił zawsze profesor Ingarden: bądź świadom. Coś jest złe, coś jest niedobre, komuś robisz krzywdę, a komuś sprawiasz przyjemność, radość. A te przeciwieństwa trzeba nie tyle ze sobą godzić, ile uważać za normalne, że nie może być tylko dobrze lub tylko źle, ale że jest i dobrze, i źle.

A badaczom?

W pracy umiar, umiar bez naciągania. Czasem się na przykład spotyka autorów, którzy wchodzą w dygresje. Mogą być one i ciekawe, ale luźno się łączą z tematem.

Bardzo dziękujemy Panu Profesorowi za wywiad.

Argumentum

Stephanus Skowronek, vir tam litterarum, quam rerum gestarum Graecarum et Romanarum peritus, praecipue autem nummos antiquos scrutando excellens, narrat in colloquio cum Georgio Ciecieląg et Hadriano Szopa anno 2015 quattuor annos ante suum decesum habito de sua pueritia et adolescentia Prevorsciae in Polonia meridionali, de suis studiis in Universitate Iagellonica atque de vita, quam postea in occupationibus academicis negotiose peregit.